

Kicz I

Na wystawie młodych artystów-malarzy, w miejscowości M., pan W. zachwycił się obrazem, pod dużo mówiącym tytułem „Młody jelonek u wodopoju”. Pan W. nie był koneserem sztuki; owszem, znał nazwiska wielkich malarzy i ich dzieła, ale w tym momencie i obrazy, i ich twórcy ulegli zapomnieniu, więc żadne porównanie, w stosunku do oglądanego obrazu nie przychodziło mu do głowy. Pan W. czuł po prostu, że obcuje z wielką sztuką. Chęć posiadania tego „dzieła”, jak już je określił w myślach, była tak wielka, że udał się do komisarza wystawy z pytaniem, o możliwość zakupu płótna (pominę cały aspekt trwającej rozmowy; dość że pan W. wyszedł z galerii, niosąc pod pachą wypatrzone i już ukochany obraz).

Mimo późnej pory oraz obawy przed obudzeniem żony i dzieci, pan W. używając młotka i ślicznego, miedzianego gwoździka, zawiesił obraz na głównej ścianie salonu. Potem rozsiadł się w ulubionym fotelu i jeszcze przez dwie godziny kontemplował swój zakup, racząc się lampką przedniego, reńskiego wina (wino było bułgarskie, ale dla pana W. stanowiłoby to dysonans estetyczny w stosunku do klasy obrazu, który oglądał, stąd w opowieści wino reńskie).

Rano, pana W. obudziła wrzawa dobiegająca z salonu. Ciężkim krokiem poczłapał w miejsce, z którego dochodził harmider. Oto jaki zastał widok: obie jego córki leżały na podłodze i pokazując palcem obraz, ryczały ze śmiechu; żona, pani J., siedziała na skraju kanapy i nerwowo popijała napoczęte przez męża poprzedniego wieczoru wino.

– Co to jest? – wystękała, wskazując na wiszące płótno.

– Obraz – odparł nad wyraz rozsądnie pan W. i w duchu pochwalił się za rzeczowe podejście do pytania.

– To jest obraz? To kicz, nie obraz! – wykrzyknęła jego małżonka. – Jelonek? Na łączce? Czyś ty zdurniał na starość – krzyczała dalej, a śmiech córek towarzyszył jej wymówkom i podsyczał w panu W. gniew. I ten gniew, który zaczął się w czubku jego głowy, zaczął powoli wędrować przez gardło, aż dotarł do serca, wrażliwego na niesprawiedliwość. Oczy pana W. zaszyły mgłą. Cofnął się w stronę kominka, ujął drżącą dłońią pogrzebac i wkładając wszystkie swoje siły, wbił go w oko swojej żony. Pierwszy cios położył ją trupem, dwa następne stanowiły tylko satysfakcjonującą rekompensatę za wypowiedziane przez nią niepochlebne słowa. Tego samego dnia pan W. dokonał jeszcze dwóch zbrodni, ale tak jak w pierwszym przypadku, nie poczuł żadnych wyrzutów sumienia.

Po miesiącu od tych zdarzeń sąsiedzi, zaniepokojeni niezwykle ciszą oraz nieobecnością pani J. na trzeciej z kolei mszy świętej, wezwali policję. Policjanci, stosując wszelkie dozwolone prawem procedury, weszli do domu. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie i nic nie wskazywało, że w mieszkaniu doszło do tragedii. Po przeszukaniu pomieszczeń, ekipa dochodzeniowa wysnuła wniosek, że właściciele opuścili dom, na przykład z powodu nagłego wyjazdu, i fakt ten uszedł uwadze wścibskim sąsiadom. Policjanci zebrali się w salonie i zmęczeni usiedli na kanapie. Dopiero wtedy zauważyli wiszący na ścianie obraz.

Płótno przedstawiało łąkę, na której stał jelonek i pochylał się nad rwącym strumieniem. Obok, na trawie, leżał mężczyzna i z błogim wyrazem twarzy spoglądał na jelonka. W tle obrazu było widać jeszcze trzy kobiece postaci, które leżały równo ułożone obok siebie, ale znajdowały się zbyt daleko od centralnej części obrazu, żeby można było dostrzec, czym się zajmują. Na horyzoncie obrazu majaczyły budynki bliżej nieokreślonego miasteczka.

– Rany, co za kicz – rzucił rozbawiony jeden z funkcjonariuszy, a reszta zawtórowała mu gromkim śmiechem.

Minęło jeszcze kilka chwil i policjanci opuścili dom, opieczętowując drzwi wejściowe żółtą taśmą.

Kiedy mieszkanie opustoszało i zaległa cisza, stała się rzecz niesamowita: mężczyzna z obrazu poruszył się i wstał z trawy. W ręce trzymał długi, podłużny przedmiot. Ruszył przez łąkę, minął trzy leżące kobiety i skierował się w stronę majaczących na horyzoncie płótna budynków. Tylko bardzo wprawne oko mogłoby dostrzec, że jednym z nich był budynek komendy policji, i tylko bardzo wprawne oko mogło rozpoznać w idącym sylwetkę pana W.

Jelonek uniósł głowę znad potoku i bezgłośnie zaryczał. Oddalająca się postać, nie oglądając się, pomachała dłonią na pożegnanie, ale nawet niewprawnym okiem było widać, że jest to gest radosny, który wskazywał, że rozstanie nie będzie zbyt długie.

Kicz II

Obudził się we mnie krytyk. Tak, tak, właśnie krytyk. Rozsiadłem się więc w fotelu i zacząłem krytykować. Na pierwszy ogień poszły wierszyki o „ptaszkach i kwiatkach” – schlaście je niemiłosiernie. Potem na warsztat wzięłem ambitne rymy i dałem upust swojej złośliwości – płynęła jak rwący potok, zalewając pustostowie. Po dwóch godzinach poczułem się wykończony. „Takie krytykowanie to jednak ciężka praca” – pomyślałem i napisałem wiersz, tak dla odreagowania złych emocji:

a kiedy łąką będziesz
w trawy się twoje wtulę
i całując pąki twych kwiatów
zacałuję
falowanie twych traw uciszę
dając ci miłość nad życie
aż na niebie zabłyśnie
księżyc nad księżycem

No to mam wiersz – stwierdziłem w myślach i poczułem, jak rozpiera mnie duma. Oczami wyobraźni widziałem, jak wszyscy oponenti pochylają głowy nad moim dziełem i w eter idzie opinia: mamy prawdziwego poetę, nareszcie jest wybitne dzieło. Wystąpiłem ten wiersz w sieć. Niech sobie tam pobędzie i niech inni poobcują z moim genuszem – tak sobie wykombinowałem. Z niecierpliwością czekałem na pierwsze komentarze.

Po godzinie bezowocnego czekania zacząłem się denerwować. Po dwóch godzinach tłumaczyłem sobie, że brak komentarzy oznacza tylko tyle, że czytelnicy są ośnieni i w tym ośnieniu-upojeniu nie są w stanie wykrztusić-napisać ani słowa. Po trzech godzinach złamałem się i napisałem pod swoim wierszem: „proszę się nie obawiać i komentować”.

I nagle jakbym odetkał zatkany syfon: jeden po drugim zaczęły pojawiać się wpisy.

Jest wieczór, siedzę w fotelu, ale już się nie rozpieram, tylko tak jakoś „milczkiem” siedzę. Komentarze nadal płyną, a ja nie mogę nic zrobić, bo we wszystkich obudzili się krytycy i każdy postanowił mi dokopać. Chce mi się płakać, ale nagle, ku mojemu zdumieniu i dla pocieszenia mojego zbołałego ego, pojawia się wpis: „bardzo fajny wiersz, czy mogę go wykorzystać do celów prywatnych?”. Odpowiadam natychmiast: „dziękuję”, dodaję „oczywiście!!!” i dopytuję z ciekawości: „a co to za cel prywatny?”, i kiedy już nie mogę doczekać się odpowiedzi, licząc, że to na pewno jakiś wydawca dostrzegł tę „perełkę pośród wieprzy”, pojawia się wpis: „no, bo pani w szkole kazała nam napisać coś na temat kiczu i ja bym chciał wykorzystać twój wiersz, on się tak fajnie nadaje”.

Zamknąłem rozdział „poeta” w swoim życiu, z krytyką też pożegnałem się na zawsze. Postanowiłem wyciszyć się i zapomnieć o doznanej porażce, ale któregoś dnia, siedząc samotnie i beczynn timer, ni stąd, ni zowąd wymyśliłem zdanie, bardzo ładne zresztą zdanie: „W piękny wiosenny poranek młoda dziewczyna udała się na spacer podpatrzeć, jak przyroda budzi się do życia”, i kiedy je zapisałem na kartce, poczułem w sobie bezgraniczną moc geniuszu. Wtedy właśnie postanowiłem, że zostanę wielkim pisarzem.

